

TOMASZ SOBIERAJ I JAN SIWMIR

Tadeusz Różewicz i barbarzyńcy

Rozmowa II

Jan Siwmir: – Pomyślałem sobie, że zajmowanie się Dyckim, Dehnelem czy Maliszewskim jest trochę z naszej strony takim sięganiem lewą ręką do prawego ucha. Większość bowiem tego, co złe w naszej literaturze, zaczęło się lata temu, od momentu uznania Różewicza za cudowne dziecko literatury. To on otworzył drzwi, przez które dziś wtaczają się hordy grafomanów i zalewają nas popłuczynami prostej prozy ustawionej w słupki. Nie mam nic przeciwko poezji à la proza, niech ona sobie będzie nawet w zygaki ustawiona, ale niech pokazuje coś, czego ja nie widzę, a jeśli już zajmuje się odwiecznymi tematami, niech robi to w niebanalny sposób. Oczekuję od poezji takiego doboru słów, który nie jest oczywisty, który sprawia, że chodząc za mną te słowa jak pies na smyczy, które nie pozwalają o sobie zapomnieć. Tymczasem Różewicz ustanowił wzór wiersza, opisującego to, co widzą wszyscy, z narracyjnym tokiem opowiadania, ewentualnie z dygresjami, bez żadnej pointy, albo z pointą cienką jak cień anorektyka na ścianie. Nic dziwnego, że w ten sposób pisze 90 proc. dzisiejszych poetów i tych, co za poetów się uważają. Tak przecież pisać potrafi każdy. Oczywiście, nie wszyscy z trzech na początku wymienionych panów piszą na sposób różewiczowski, ale żeby zająć się takimi jak oni, trzeba najpierw zastanowić się gdzie, kiedy i w którym miejscu zaczęła się ta mizerota w polskiej literaturze. Ja twierdzę, że w dużej mierze od momentu zachłystnięcia się czwartym systemem wersyfikacji w poezji, antyformą, ascetyzmem, dezintegracją wypowiedzi, ideą „śmietnika”. To są wybiegi idealne do ukrycia braku talentu. Nie umiem znaleźć żadnej metafory czy analogii, nie mam pomysłu na wiersz, więc robię z tego atut...

Tomasz Sobieraj: – ... no, akurat Dehnel nie jest zjawiskiem zupełnie złym, bo w przeciwieństwie do panów Maliszewskiego czy Dyckiego przynajmniej umie pisać – nie ma tylko o czym. Jest banalnym nudziarzem jakich tysiące, poprawnym i gładkim dobrym uczniem, inteligentnym, zdolnym, ale pozbawionym własnego stylu pieszczochem, takim, jakiego uwielbiają nauczyciele i starsze panie. Nie ma jednak w jego twórczości krwi, jest jak mumia Lenina – ładna, ale martwa. To taka literacka wydumuszka. Dehnel nie ma nic do powiedzenia, ma wyobraźnię licealisty, a na realizm go nie stać, bo nic jeszcze nie przeżył zajęty samouwielbieniem, naśladowaniem Larkina i zebranią o stypendia. Na razie jest śmieszny i pusty, ale kto wie, może z czasem stworzy coś oryginalnego. Żeby tak się stało, musi jeszcze pożyć, doświadczyć, poczytać, pomyśleć i przestać zachwycać się sobą.

Jan Siwmir: – Co nie znaczy, że nie ma swoich fanów. Jest sporo osób chętnie sięgających po książki, w których znajdują rzeczy już im znane, będące odzwierciedleniem nostalgii za przeszłością. On jest zresztą bytem osobnym i zaplątanym w te nasze rozważania poniekąd z rozpędu. Nie ma co się skarżyć na istnienie tego typu pisarzy. Od zawsze powtarzam: pisać może każdy. Problem pojawia się dopiero wówczas, gdy pisarz uwierzy we własną boskość, którą tak cudownie, na sposób krzywego zwierciadła, wyolbrzymił

przy prezentacji własnej osoby, na który to happening dało się nabrać kilka osób. I wtedy, gdy krytycy zaczynają, z reguły po znajomości, stawać niedouczone bądź banalnych autorów za przykład dla innych piszących.

Tomasz Sobieraj: – Otóż to. Przypadek chociażby Dyckiego – to jakiś ponury żart, o którym należy jak najszybciej zapomnieć. Natomiast prawdziwy problem jest tak jak mówisz z takimi zwolennikami marnej literatury jak choćby Maliszewski, „wujek Karol”, słaby pisarz i nieudolny poeta, jednocześnie ustosunkowana niańka wszelkiej maści niedouków, zagorzały promotor antyintelektualizmu i wulgarności, ktoś może trochę na wzór ludzi z przedwojennej „Dźwigni” i „Miesięcznika Literackiego”, którzy korzystali z najlepszych radzieckich wzorców, postulowali zastąpienie literatury pięknej literaturą faktu tworzoną przez proletariuszy. Siłą rzeczy taka postawa z pokązną domieszką dadaizmu i awangardy krakowskiej, zaszczepiona przez Maliszewskiego na nasz prowincjonalny współczesny grunt, odrzuca intelektualną refleksję, estetyzm, wagę słów, Piękno oraz Prawdę. Dlatego każdy, kto napisze głupio, niepoprawnie, bełkotliwie i wulgarnie, jest według niego wielkim poetą. Dowodzą tego laurki, jakie wypisuje bez opamiętania „cudownym” chłopcom i dziewczynkom, a w istocie zwykłym grafomanom. Ośmiesza tym siebie i literaturę. Właściwie, dla poważnego twórcy ewentualna pochwała od „wujka Karola” to byłby powód do wstydu – to jak paszport do rysztołka. Maliszewski jest jak ulegający mutacjom antykulturalny wirus (przykładem mutacji jest np. niejaka Wolny-Hamkało). Przez takich ludzi niedouczenie i bezsens są wprowadzane do literatury z niespotykaną dotychczas energią, wzmaganą gromkimi okrzykami radości wznoszonymi przez zaprzyjaźnione środowiska. Maliszewski i jego apostołowie uważają, że te promowane przez nich popłuczyny wspomnianej radzieckiej ideologii zmieszane z brutalizmem Drodzowskiego i poezji amerykańskiej, głównie bitnikami, turpizmem Grochowiaka, poezją lingwistyczną Karpowicza, Białoszewskiego i epigonów – Barańczaka, Krynickiego, obficie okraszone wulgaryzmami i językową nieudolnością, to literatura piękna!

Jan Siwmir: – Na miłość boską, nie czepiaj się Grochowiaka! Ma cudowne, boskie, jedyne w swoim rodzaju erotyki. Jego turpizm był rodzajem buntu, z czasem, gdy przybywało lat i mądrości odchodził od niego w kierunku bardziej klasycyzującym. To przykład jak można uczyć się na błędach i dojrzewać, czerpiąc z buntowniczych doświadczeń, ale ich bezkrytycznie nie uświadczać. Maliszewski zaś jest zastygłym w swej manierze, ewidentnym apologetą futuryzmu, bo już do Przybosia niechętnie bym go przyrównał. Taka awangarda krakowska z Peiperem na czele odrzucała przecież prymitywizm, czy irracjonalizm. Opierali się na metaforze mającej być ekwiwalentem uczuć w poezji. Przyboś, co by nie mówić, miał talent. Natomiast Maliszewski wraz z hodowanymi przez siebie dziećmi, którym pierze mózgi, warunkując ich nagrodami jak Pawłow swoje psy, są przedstawicielami chaosu wymie-

szanego z barbaryzmem, zafascynowani techniką, specjalistyczną terminologią (choćby „bifurkacja” łukaszewicza) i jej odpadami, dalecy od zdań niezwykłych czy wyszukanych, nazywający wszystko po imieniu. Jeśli już używają porównań czy metafor, to wydumanych lub ubogich jak żur ze śledziem w okresie postu. Wypisz, wymaluj mutacja stylu Różewiczowskiego posadzona okrakiem na futurystach. Ruch futurystyczny lat 20-tych nie przyniósł wybitnych osiągnięć i wszystko na to wskazuje, że także dziś staje bezradny w ślepej uliczce. Aż dziwię się, że znajdując się epigoni takich sromotnych porażek.

Tomasz Sobieraj: – Według mnie obecność metafor nie jest warunkiem koniecznym, aby zaistniała poezja. Mam wrażenie, że nadmierna skłonność do metaforyki to barokowo-młodopolski relikw, wyraz nadmiernej egzaltacji prowadzący niekiedy do śmieszności. Do poezji wystarczy myśl ujęta zwięźle i jasno w słowa starannie dobrane, niewyszukane, ale i niepotoczne, sensowne – nawet banalne – treść, pasująca do niej forma. Poezja – tak jak ją ją pojmuję – powinna być blisko filozofii, podobnie jak ona powinna poszukiwać Prawdy, ale nie stronić od Piękna. I tego zasadniczo w polskiej prowincjonalnej poezji nie ma, jest za to bełkot. Niewiele jest też tego, co dla ciebie najważniejsze – zgrabnej metafory, inteligentnej dygresji, błyskotliwej pointy. Właśnie, ale dlaczego twierdzisz, że winę za to ponosi Tadeusz Różewicz? Różewicz to poeta, pisarz i dramaturg osobny, poza klasyfikacjami, świadomie odrzucający Piękno dla Prawdy, gorzkie Prawdy. Jego twórczość jest niepiękna PROGRAMOWO, a to zupełnie inna sprawa. Ty jesteś wielbiciele Piękna i związanych z nim właściwości poezji, jak np. metaforyka, i stąd to nieporozumienie. Natomiast wynoszeni przez Karola Maliszewskiego wytwórcy nie znają żadnej z tych dwóch kategorii, podobnie jak nie znają kategorii Dobra, Myśli... On i jego podopieczni są zwolennikami Rysztołka, kategorii względnie nowej, która jest konwencją dzisiejszej poezji, niezwykle popularną, bo niewymagającą wiedzy, refleksji filozoficznej, tych cech nadal uznawanych w ginącym świecie intelektualistów za cnoty. Dlatego nie uważam, aby to Różewicz był winien dzisiejszej nędzy polskiej literatury...

Jan Siwmir: – ...zaraz, zaraz, oczywiście, że nadmiar metaforyki wierszom nie służy, ale to nie znaczy od razu, że trzeba ją omijać szerokim łukiem. No i przecież nie obwiniam Różewicza o całe zło z bombą atomową włącznie. Uważam jednak, że zrobił wyłom w murze, przez który, owszem, widać większy kawałek świata, ale skoro robi się dziurę, to warto byłoby mieć tę świadomość, że poszerza ona nie tylko widok, ale że włączy przez nią mnóstwo dziwnych, delikatnie mówiąc, kreatur. Podejrzewam, że młody chłopak, w ramach swego rodzaju żartu, szukając innych form literackich, napisał właśnie jak ogłoszenie w gazecie, co tak się spodobało, że mógł uczynić z tego swój program literacki. A dlaczego się spodobało? Bo przyjąwszy taką koncepcję poezji, dawało szerokim masom moż-

(Dokończenie ze strony 4)